



Kwadratowy guzik w okrągłej dziurce

O co-housingu senioralnym w Boulder, Colorado opowiadają:

Jim (80 lat), deweloper, architekt i mieszkaniec

Alan (67 lat), mieszkaniec

WYZWANIA

Jim: Ludzie często są zawiedzeni co-housingiem. Oczekują, że zmieni ich życie od tak. Ale to w ten sposób nie działa. Wyobraź sobie, że decydujesz się spędzić resztę swoich dni na morzu. Luksusowy statek wycieczkowy z obsługą jest w tym scenariuszu prywatnym domem opieki, a tratwa, którą trzeba przerobić na łódkę to co-housing. Tratwa nie zamieni się sama w łódkę. Żeby tak się stało, musisz być częścią grupy i razem z grupą ciężko pracować.

Alan: My co-houserzy stajemy w kontrze do konwencjonalnie rozumianej „amerykańskości”. Jesteśmy jak kwadratowy guzik w okrągłej dziurce. Chcemy „odczynić” amerykański sposób bycia, ten zatwardziały



indywidualizm, który prowadzi nas wszystkich na manowce. Konkurowanie non stop, gloryfikacja „zwycięstw”, nastawienie na „sukces”. Jesteśmy w tym kraju od najmłodszych lat programowani, by wieść dostatnie życie: iść do porządnej szkoły, robić karierę, mieć swoje i dużo. W efekcie ludziom trudno jest zrezygnować z tej obfitości. U nas jest na odwrót. Liczy się współdziałanie, a nie indywidualne widzimisię. Pandemia to dla wielu osób spoza naszych struktur terapia szokowa. Pytają siebie: „gdzie są ludzie?”. Amerykanie przywykli do wizji, że nikogo nie potrzebują, a tu nagle okazało się, że to bzdura. Co-housing to drut kolczasty na samotność. Samotność upadła. Samotność zabija. Samotność jest jak palenie piętnastu fajek dziennie.

Ktoś może zapytać: „jeśli to taka świetna idea, to dlaczego mamy w Stanach 170 co-housingów, a nie 17 000?”. Dlatego, że takie rozwiązanie jest dla większości za drogie! Co-housing jest w Stanach Zjednoczonych elitarny. To spędza mi sen z powiek. Teraz mamy w sąsiedztwie dom na sprzedaż. Kosztuje 800 tysięcy dolarów. Kogo na to stać? Dominuje u nas model własnościowy. Owszem, parę osób odnajmuje część swoich domów, ale to jest margines. Dodatkowo, najemcy bardzo gorliwie partycypują, ale nie mają nic do powiedzenia we wspólnocie. Dlaczego?



KONFLIKTY

Alan: Nie miałem problemu z dostosowaniem się do życia we wspólnocie, bo od zawsze tak funkcjonowałem. Wielka rodzina pod jednym dachem - a tak dorastałem - to taka organiczna forma co-housingu. Potem akademik ze stołówką i telewizją w piwnicy, a po studiach współdzielone mieszkanie w dużym mieście. Można powiedzieć, że mieszkanie z ludźmi miałem przećwiczone. Jednak tym, co mnie zaskoczyło, to jak bardzo wszystko jest tu rozplanowane, obliczone, zorganizowane, formalne. Początkowo czułem się tu, jakbym został zaproszony na imprezę firmową, a nieobecność groziłaby zwolnieniem. Wszystko planujemy. Tak długo jak tu mieszkam, staram się to odkręcić.

W niedziele i środy jadamy razem kolację w stylu „potluck”. Nie gotujemy dla wszystkich, bo w innych grupach to jest często zarzewiem kłótni. Ktoś zrobi pieczone ziemniaki, ktoś inny wykwintne danie mięsne i kłóć się, kto się bardziej przyłożył. U nas każdy przynosi swoją potrawę. To by się świetnie sprawdzało, gdyby nie jeden drobiazg. Otóż kolacja musi odbyć się w te dwa konkretne dni. Jeśli ktoś zorganizuje wspólny posiłek we wtorek, to się nie liczy. A przecież to również partycypacja! Mamy osobę, która pracuje w nocy i nie może uczestniczyć w tych spotkaniach tak często, jak inni. Choć ta osoba przykłada się do innych rzeczy, wiele wnosi w życie społeczności, i tak jest narzekanie, że nie pojawia się przy stole. No ludzie!



Przez parę lat żyłem tu, głównie irytując się, nie doceniając tego miejsca, aż w 2014 roku zachorowałem. Właściwie to wyrwałem się śmierci.

ZDROWIE

Alan: Nie było pustej sąsiedzkiej gadki: „Alan, zadzwoń do mnie, jak będziesz czegoś potrzebował”. Sąsiedzi sami wychodzili z inicjatywą. Dzień w dzień wymyślali rzeczy, które mogą dla mnie zrobić tu i teraz: czy to było jedzenie, czy pieniądze. Nie musiałem o nic prosić. Po tym wydarzeniu stałem się apostołem co-housingu.

Owszem, wyznaczamy granice sąsiedzkiej pomocy, ale granice nie oznaczają obojętności. Żona mojego sąsiada zachorowała na Alzheimera. Przez pierwsze 7 lat choroby mieszkała tutaj. Wiedzieliśmy, że traci pamięć, że może się zgubić, pilnowaliśmy jej. Przychodziła na kolacje, była częścią wspólnoty, kochana. Kiedy jej stan się pogorszył, zaczęli przychodzić opiekunowie, a potem przeniosła się do domu opieki. Myślę, że granica oferowanej przez nas pomocy przebiega w okolicach klozetu – kiedy chora osoba nie jest w stanie się podetrzeć, wtedy muszą wkroczyć specjaliści. Nie chcielibyśmy świadczyć takich usług sąsiedzkich. Wciąż wydaje mi się, że moja sąsiadka miała w nas większe wsparcie, niż miałyby gdzie indziej. Jej mąż podejrzewa, że to dlatego tak długo żyła.



MOTYWACJA

Alan: Sprowadziłem się tu z partnerką Dianą w 2009 roku. Miałem 56 lat. Wcześniej żyliśmy nieopodal w dwupoziomowym domu z dwoma psami. Diana opiekowała się wówczas swoją schorowaną mamą. Cała czwórka miała problem z wędrowaniem w górę i w dół tymi schodami. W końcu Diana zarządziła, że musimy się przeprowadzić do miejsca bez barier, jednopiętrowego, przystosowanego dla osób z niepełnosprawnością. To ona zainteresowała się opcją co-housingu. Ja byłem w temacie zielony.

Jim: Na samym początku w Silver Sage mieliśmy 16 domów, z czego połowa była wolna, a połowę zamieszkiwało około 12 osób. Kiedy zaczynaliśmy, średnia wieku wynosiła 60 lat, teraz – 75. Najmłodszy mieszkańcy mają 57 lat, wiele osób jest już po 80-tce, parę po 90-tce. Nasza społeczność się zestarzała. Nie projektowałem tego dla siebie, nie wiedziałem nawet, że tu zamieszkam. Wziąłem żonę na jedno z pierwszych spotkań i zanim się zorientowałem, zapisała nas jako chętnych.

WŁASNOŚĆ

Jim: Nie ma ograniczeń, jeśli chodzi o dziedziczenie, ale wspieramy członków rodziny sprzedających dom po zmarłym – mamy listę 200 osób zainteresowanych co-housingiem, więc ze znalezieniem nowych sąsiadów



nie ma problemu. Jeśli mimo to ktoś chce sprzedać dom własnym sumptem, prosimy, by poinformował potencjalnych kupców, jakiego typu to miejsce. Od lat udaje nam się odstraszać rodziny z małymi dziećmi.

ARCHITEKTURA

Jim: Są dwa komponenty co-housingu. Jednym jest projekt, podobny we wszystkich przypadkach. To nie jest jakaś wyrafinowana architektura, nie o to tu chodzi. Aby uchwycić ducha co-housingu, trzeba patrzeć na drugi komponent – wspólnotę. To o nią musi zadbać architekt. Jego praca polega na kierowaniu grupą sąsiedzką w taki sposób, by spędzając ze sobą czas, stworzyła wspólnotę.

ORGANIZACJA ŻYCIA

Jim: W Silver Sage podzieliliśmy się na pięć zespołów, które zajmują się najważniejszymi aspektami naszego wspólnotowego życia: budynkiem wspólnym, ogrodami, naprawami, finansami i kwestiami prawnymi, spotkaniami plus rozrywką. Wspólnie wymyślamy praktyczne rozwiązania. Na przykład udało nam się zrobić tak, by około 25% kosztów, których potrzebujemy na funkcjonowanie naszej społeczności, pokrywał budynek wspólny. Wynajmujemy go okazjonalnie, a wraz z nim pokoje gościnne po 35 dolarów za noc, studia artystyczne, biuro.



Alan: U nas obowiązuje konsensus. To dla mnie idealny model umowy społecznej. W zwyczajnej demokracji obowiązuje głos większościowy. Mniejszość nie ma w niej nic do powiedzenia, jej perspektywa jest ignorowana. W konsensusie wszyscy wygrywają. 98% decyzji, które podejmujemy, nie przysparza problemów. Jedynie 2% wymaga od nas włożenia wysiłku. Polega on na tym, że jeśli 75% osób jest za, a 25% przeciw, trzeba tych 75% przekonać, by zmieniła lub zmodyfikowała swoje zdanie, by zaspokoić potrzeby mniejszości. Kwestia noszenia maseczek ochronnych to było nasze 2%. W efekcie nie ma u nas takiego obowiązku. Ludzie z grup ryzyka, jak ja – przeszedłem ciężką chorobę płuc – nie wychodzą z domu. Ale mamy też mieszkańców, którzy nie wierzą w pandemię. Reprezentujemy dwa ekstrema, ale tolerujemy się. Mamy za sobą lata budowania wspólnoty, rozwiązywania wspólnie problemów, bycia razem. Ciągłe to wszystko robimy, tyle że przenieśliśmy się na ZOOM. Co-housing czyni COVID-19 znośnym. Nawet jeśli wydarza się z ekranów komputera.

Jim: Dla amerykańskiego seniora dołączenie do co-housingu to prawdopodobnie najlepsza szkoła rozwoju osobistego, jaką można przeżyć. Amerykanie są tak cholernie skoncentrowani na sobie. Zrobią wszystko, by ochronić swoje małe ego. We wspólnocie zaraz ktoś ci utrże nosa, a z takim utartym od razu robi się człowiekowi lepiej.

Aleksandra Zbroja





